

R. IX SKREŚLANI

Dorota kroczy ulicą uśmiechnięta. Przyciąga tym spojrzenia. Zaraża radością. W dodatku obejmuje ramieniem olbrzymi bukiet żółtych kwiatów.

Tylko ona trochę się sili na ten skurcz mięśni, przypominający uśmiech. Bardziej udaje. A ręka tak kurczowo przyciska kupione mimochodem na bazarze kwiaty, że obwisły omdlałe. Mijają ją cienie ludzi. Jedyne spękania chodnika wbijają się jej w oczy przeraźliwie ostro. I każdy uszczerbek muru. Nogi niosą ją same. „Byle nie wpaść pod samochód” - powtarza sobie, poruszając ustami i odsuwa się co chwilę lękliwie od jezdni aż pod ściany domów. „Nikt by nie uwierzył, że to nie samobójstwo” - zaśmiała się drwiąco. - W takich okolicznościach byłoby to jakieś wyjście. Ale zarazem przyznanie się do przegranej. A tego nie chce! Broń Boże!

Nie chciała nawet, by jej ktokolwiek towarzyszył dziś na rozprawie. Zresztą kto?

Wreszcie przebyła dłużącą się drogę. Nawet jazdę windą ze śledzącymi ją natrętnie oczami współpasażerów. Potem kanciaste schody od półpiętra. Długo szuka kluczy, z trudem trafia do dziurki i wreszcie jest u siebie.

Kwiaty kładzie byle jak na stole, obok torebkę, i ta zaraz spada. Dorota, nic nie widząc, krąży po trzech pokojach w poszukiwaniu flakonu. Mieszkanie wydaje się nagle straszliwie rozległe. Co chwilę usiłuje sobie przypomnieć czego tak szuka? Rozgląda się niespokojnie. Dostrzega torebkę - tę najdroższą, kupioną na pocieszenie - na podłodze, obok nogi krzesła, ale biegnie dalej, za czymś pilniejszym. Tylko nie pamięta za czym? Wtem zahacza o dywan. Nieposłuszna ręka jeszcze chce się uchwycić stołu, lecz reszta ciała leci w dół. Wyzwolone teraz łzy radują. Jedyne krnąbrne pięści zaczynają tłuc bezsilnie podłogę.

W końcu podnosi się na kolana, pełna nienawiści do siebie samej. Obok na dywanie zauważa kilka podwójnych listeczków z korzonkami niczym wężące czułki. W sumie nie większe od paznokcia. Ach, to znowu rozprzestrzenia się niebezpiecznie to niebezpieczne zielsko, której nazwy nawet nie zna!

Odkąd Wiktor się wyprowadził, zapychała pustkę mieszkania czym się dało, nawet zielenią. Kwiaty rozpanoszyły się wszędzie. Bluszcz oplątał półki z książkami, namnożyło się głupich pelargonii, ale najgorsza była ta właśnie roślina, co rozrastała się w mgnieniu oka.

W kilka dni nabierała olbrzymich rozmiarów a ząbki na brzegach mięsistych liści wydłużały się, zwijały, przekształcając się w podwójne listki, spuszczały w dół dwa wąsiki korzonków i nagle całe masy takich osobników spadały gdzie popadło. Z nich mnożyły się błyskawicznie kolejne egzemplarze. Zachwycona wypełniała nimi nowe wazon-y i skrzynki. Wkrótce przestraszyła się ich ekspansji. Mogły zarosnąć całą przestrzeń! Zadusić! Choćby w nocy. Odtąd nazwała te rośliny: „rozwojnik-dusiciel” i bała się syjących odrostów. Któregoś dnia telefon będzie do niej dzwonił na próżno. W końcu wywalą drzwi, a w mieszkaniu - zapchanym drapieżną zielenią - znajdą jej ciało, zduszone pnączami.

Uśmiecha się do tej wizji. Tak czy owak, powinna się tego paskudztwa pozbyć. Tylko ile razy się do tego zabiera, ogarnia ją dziwna niemoc, brakuje sił do wykonania najmniejszego w tym kierunku ruchu. Jakby coś powstrzymywało?!

Teraz szybko zbiera z podłogi niebezpieczne odrosty. Nad koszem waha się. „A gdyby tak je komu podrzucić?!” - śmieje się i wsypuje pędy w doniczkę. Niech się dalej panoszą! Co będzie, to będzie!

Na stole czeka książka Umberto Eco - „Imię róży”. Jednak nie kuszą w tej chwili zadrukowane stronicy. Zna je zresztą nieomal na pamięć. Chciała zatopić się w lekturze po powrocie z sądu. Ale dziś, kiedy rozwód został ostatecznie orzeczony, coś powstrzymuje przed zbyt łatwą ucieczką od rozpacz-y.

Tylko jakiej rozpacz-y? Ona nie rozpacza! Jest zbyt dumna! Ma dość sił, by nie pokazać niczego. Nawet przed sobą się nie zdradzi. Przecież wmówiła sobie, że to nic takiego. Nie będzie szukać pocieszenia w książce. Jeszcze by się skojarzyła z takim dniem. Straciłaby do niej serce.

Zresztą ostatnimi czasy potrafiła skupić się jedynie na problemach innych ludzi i zapomnieć się w działaniu. Po zrobieniu reportażu o dzieciach opóźnionych w rozwoju miała pełne ręce roboty. Rozruszała mechanizmy pomocy dla nich i rodziców. Taka potrzeba wynikała z jej wywiadów. W redakcji z nową energią wydzwaniała tu i tam. Własne zgryzoty przy tym zblakły. Dopiero w domu otwierała się przed nią pustka.

Zaczęła unikać przyjaciół. Lękała się współczucia i dobrych rad. To by znaczyło, że naprawdę przegrała. Ale dziś rozwód został orzeczony i należy spojrzeć prawdzie w oczy.

Do wczoraj głupi cień nadziei psuł każdą próbę uporządkowania życia. Nadaremnie zmuszała się do oceny sytuacji od drugiej strony. Coś przecież na tym zyskiwała. Miała teraz dla siebie cały wolny czas i całe, niemałe w końcu mieszkanie. Mogła jeść o dowolnej porze, i to na co ma ochotę, bez wysłuchiwania, że coś niezdrowe albo tuczy. Tak, tylko rozum mówi swoje, a wszystko w środku się sprzeciwia. Kiedy wreszcie będzie mogła opanować emocje rozumem ?

Rozmyślając tak, otwiera konserwę z gulaszem, podgrzewa, kroi pomidory i zjada wszystko w kuchni, bez białego obrusa, bez serwetek. Przy Wiktorze bardzo przestrzegała estetyki posiłków. I co z tego?

Posilona przytomnieje. Od razu znajduje flakon na przywiedle kwiaty, leżące dotąd na stole. Podnosi z podłogi torebkę. Zapala papierosa i sięga po „Imię róży”. Śledzenie po raz któryś akcji w średniowiecznym klasztorze i zawarte tam filozoficzne rozważania powinny odwrócić uwagę od zapytywania w kółko, dlaczego los ją tak pokrzywdził?

Oczywiście łatwiej myśleć, że to wina losu a nie mężczyzny i to tak ubóstwianego męża. Teraz go nienawidzi! Nie zamierza przez niego cierpieć!

Niestety nie może skupić się na czytaniu. Myśli wciąż ulatują daleko od wydarzeń w klasztorze. Poddaje się, zamyka książkę i robi coś przed czym długo się wzbraniała. Długo nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Teraz wyciąga z torebki notes z numerami telefonów. Podnosi słuchawkę milczącego ostatnio aparatu i wykręca pierwszy numer.

- Dzień dobry! Małgosia?... Co porabiasz? ...Tak, już jestem wolna. Właśnie wróciłam z sądu. Może wpadniesz do mnie... Jesteś zajęta?! To odezwij się kiedy sama. Do widzenia...

Dzwoni z kolei do Haliny. Ta robi akurat wielkie pranie. A jutro ma wywiadówkę u syna. Weekend, jak zawsze u teściów. Dorota powoli odkłada słuchawkę. Po namyśle raz jeszcze ją podnosi.

- Jacek?... Cześć! Poznajesz?... Nie, tak sobie dzwonię. Bez specjalnego powodu. Masz te materiały? Miałś przynieść... Dam do najbliższego numeru. Już na kolegium redakcyjnym napomknęłam...

-Przyniosę ci jutro. Nie, lepiej pojutrze - odpowiada Jacek i więcej nic nie dodaje. czeka.

Szybko go żegna. Właściwie nie wie, co powiedzieć. Widują się każdego dnia w redakcji. Wykręca następne numery z notesu. Telefon Radka nie odpowiada. Jola zamierza myć okna. Nawet się nie wysila na bardziej przekonujący wybieg. Wszyscy mają ważniejsze sprawy. Dorota czuje się jak natręt. Mimo to uparcie dzwoni według spisu. Czasem zamienia kilka słów, niekiedy długo nasłuchuje ciągnących się w nieskończoność sygnałów. Zrezygnowana kładzie ciężko słuchawkę na widelkach. Zapala kolejnego papierosa. Ożywia się, przypominając sobie jeszcze kogoś.

Do niedawna prowadziła z mężem bogate życie towarzyskie. Wszyscy się do nich garnęli. Chyba nie tylko z powodu jej ojca na wysokim stanowisku, choć nieraz to i owo komuś przez niego załatwiała. Po jego śmierci nic się nie zmieniło. Sama zresztą jako dziennikarka miała coraz większe możliwości, dojsčia i kontakty. Ale czuła, że przyjaciele przychodzą głównie dla Wiktora. Był powszechnie lubiany. Ona może też? Tylko uważano, że zadziera nosa. Że trzeba się przed nią mieć na baczności, bo wzbudza przesadny respekt. Czasem jej to, niby żartem, ten i ów wytykał. Trudno! Ona lubi ludzi godnych podziwu a pogardza zadowolonymi z siebie maluczkimi. No nie, nie gardzi, to przesada. Jest bardzo wyczulona na problemy zwykłych, szarych ludzi. Interweniuje w ich sprawach, robi o tym reportaż, wszczyna akcje pomocy. Lubi z takimi rozmawiać i chętnie im pomaga. Ale to na ogół ludzie godni współczucia. Co innego ci zawistni czy zakompleksieni znajomi, próbujący wciągać ją w swą grę: kto

nad kim będzie górował. Im od razu należy utrzyć nosa. Wobec nich dystans niezbędny. Tylko ani tych, ani tamtych, którym współczuje i stara się pomóc, nie chciałaby gościć u siebie w domu. Praca, zawód to jedno, a życie prywatne to zupełnie coś innego. Niech więc będzie, że jest zarozumiała. Inaczej by ją zjedli. A jednak o jej towarzystwo dotąd zabiegano. Tymczasem wystarczyło, żeby po odejściu Wiktora jakiś czas unikała ludzi a telefon przestał dzwonić, nikt nie wpada bez powodu na pogawędkę. Najpierw było jej to na rękę. Nie musiała udawać, że nie cierpi. Teraz nie chce być dłużej sama!

Wykręca jeszcze numer do Gabrysi. Nie przepada za nią, ale...

- Dorota, ty teraz niebezpieczna - chichocze tamta. - Wolna, możesz odbijać mężów...

- Takaś zazdrosna? Nie bój się! Twój nie w moim guście!

- Och, samotne łase na każdego!

Rozmowa nabiera cech okrucieństwa. Dorota na moment głupieje i odkłada słuchawkę bez pożegnania. Cóż, Gabryśka zawsze była z gruba ciosana. Niby udaje kim to ona nie jest, ale jej zachowanie temu przeczy. Ponoć ludzie niskiego wzrostu bywają bardzo złośliwi. No, nie wszyscy - przebiegła myślami wszystkich znajomych o niepozornej posturze - ale na niej to się sprawdza. Jest mała i ciągle wszystkich kole. Ktoś, bywa, machnie do niej kwiatem a ona wali zaraz cepami, raniąc takiego boleśnie i bez umiaru. I to nauczycielka! Jaka musi być zła dla uczniów? Odbija sobie na nich to, co jej w świecie dorosłych nie wychodzi. A, czort z nią!

Dorota siedzi dłuższą chwilę oszołomiona w poczuciu jeszcze jednej niezawinionej krzywdy. Potem starannie zamazuje długopisem adres i numer telefonu Gabryśki. W notesie zostaje po niej tylko czarna smuga.

Telefon Ryśka, zapisany ma ołówkiem, po krótkiej wymianie nieciekawych zdań również uznaje za niepotrzebny. Robi wysiłek, by wyszukać w szufladzie biurka gumę i wyciera go równie starannie. Za to, że nie domyślił się, jak bardzo pragnęła z nim pogadać, choć miała olbrzymie opory, by do niego dzwonić, a kiedy się na to zdobyła, nie zaproponował spotkania. Dawniej pamiętał, że lubi małe kanapki, koniak dolewany do kawy i kawiarnie tonące w półmroku. Tam można się było wyłączyć z otoczenia i rozmawiać, śledząc toczące się obok życie. Dziś chciał mówić wyłącznie o swoim artykule. Nic więcej zdawało się go nie interesować.

Numer Tomka też zanotowany ołówkiem. Czyżby przeczuwała, że nie ma co na niego liczyć? Okazał takie zaskoczenie jej telefonem, że straciła odwagę powiedzieć, o co chodzi. On zresztą ma zazdrosną dziewczynę - pomyślała poniewczasie

W pokoju zrobiło się mroczno. Nie wytrzyma tak dłużej. Coś ją niecierpliwi, przeraża. Czai się w cieniu mebli, za plecami. Znowu podchodzi do telefonu.

- Zadzwoń... Powiedz coś miłego - prosi - tak mi dzisiaj ciężko.

Powtarza to kilkakrotnie i w odpowiedzi słyszy, że pogoda się poprawia, ładna jesień tego roku, niezły ostatni serial w drugim programie. Nikt nie słyszy westchnienia, z jakim ona wypowiada na koniec, pełne wahania: no to cześć, zadzwoń kiedy...

Wykreśla z notesu dalsze nazwiska, adresy, telefony, żeby nic nie dało się odczytać. Bo po co ?

„Wymazuję was! - cieszy się z dziką satysfakcją – bo tylko Wiktora lubiliście? Mnie nie!” - Oczy jej skrzą się złowrogo. „Już nie istniejecie wymazani!”

Rozumiała teraz kobiety z prymitywnych szczepów, które z zemsty kłują mściwie figurki wroga igłami. Ją samą aż ręce swędzą, by coś takiego zrobić! Ach, może przecież posłużyć się tą niesamowitą rośliną - rozwojnikiem-dusicielem!

cdn (ewentualnie) Sokół

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Krystyna Habrat, dodano 05.06.2010 08:22

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.